Rozmaitości

Dnia 13. Lutego **Nr 7.** 1836 Roku.

PROFESSOR.

Powieść T. A. Olizaroskiego.

(Dokończenie.)

W przybytku Boga młodzież zgromadzona,
Do koła trumny twarze swe układa;
Trumna nad wszystko żywe podniesiona,
Oprócz niektórych myśli, i niektórych
Westchnień, i spojrzeń młodych i ponurych;
Między młodzieżą a trumną rozkwita
Spokojnym ogniem sto lamp i świéc tyle,
A w każdém świetle jest myśl rozmaita,
To o kolebce, albo o mogile...
I zdasz się widzieć ogniste motyle
Do białych lasek świéc poprzybijane,
Jakąś kunsztowną dłonią poruszane,
Oddawające swe subtelne życie
Komuś w powietrzu. — Już od głowy trumny
Requiem eternam wyszło na kolumny,
I osiadało w kościoła sufit cie;
Święconéj wody padły ciche dészcze
Na wszystkie cztéry katafalku strony,
Chwila konduktu — trumna czeka jeszcze,
I wzrok kapłana ku drzwiom wypuszczony,
Wraca i zda się rzéc: »Czekajcie jeszcze!«
Obecni wiedzą czego oczekują,
Lecz nieobecni niechaj odgadują,
Zkąd ta przewłoka w porządku i ruchu?
Widać po oczach, i widać po słuchu,
Że chcą w téj chwili kogoś widziéć, słyszéć;
W kościele wszystko tak umiało ściszéć,
Że każdy oddech obrażać się zdawał
Słuch czekających. Już kapłan nastawał,
Ażeby trumnę z katafalku zdjęto,
Już nawet słuchy niektóre przymknięto,
W tém, w drzwiach kościoła staje postać tłusta
W paradnym stroju. Roztulone usta,
Zkąd oddech bucha jako dym z komina,
I parą siwą kurzy się czupryna,
Znajome mundur i hafty i postać —
Spiął się na palce i wyciągnął szyję,
Jakby chciał trumny końcem brody dostać,
I uśmiéchnął się jakby ścisnął żmiję.
Chrząka i spluwa, i dyszy. Tymczasem
Spływa z przed oczu, za filary tonie,
I widać między tłumami dwie dłonie
Czerwone, tłuste. Rozstają z hałasu
Tłumy, professor łokciami rozpycha,
I pół-obecnych twarzy się uśmiécha,
Drugie pół zziębłe i zniecierpliwione
Jak chorągiewki w tę lub owę stronę
Obracają się. Professor dopływa
Do podniesienia (jestto w miniaturze
Katedra szkolna), papiér się rozléwa
Między dwie dłonie; professor ku górze
Wylał wzrok, potem na trumnę go stoczył,
Nareszcie całkiem w głąb papiéru wtłoczył,
Odchrząknął, zamilkł, i usta rozdziawił,
I zaczął czytać, obecnych słowami
Chciał utraktować, lecz słowa zadławił,
Krztuszac się, sapał całémi nozdrzami.

Nawet poważny kapłan się uśmiécha,
Nawet po trumnie jakiś uśmiéch łazi,
Pewnie umarły (niechaj nie obrazi
Uszu słuchacza ta uwaga cicha),
Rozśmiał się z takiéj pogrzebowéj mowy,
(Śmiéch co przez szpary z trumny się wynurzył
Do téj dziwacznéj uwagi posłużył).

Humor kościoła występny i nowy
Uległ odmianom; kapłan brwi nasrożył,
I tak w postaci swéj się upokorzył,
Że cały kościoł oczy swe i myśli
Na twarz mu wysłał. Zda się, że zawiśli
Wszyscy od ruchu jego ócz i twarzy;
Tylko professor zajęty sam sobą,
Sam jak Demosten śród Greków się żarzy,
Sam sprzeczność wiedzie z powszechną żałobą,
Z powszechną ciszą. Czyta, więc słuchają
I wszyscy w cichą pamięć zaplatają
Te słowa mowcy: »Że drzeniem stąpamy,
»Po ciągłych grobach sąsiad i znajomych,
»O butwiejących kościach rozmyślamy;
»I pokładamy ufność w niewidomych
»Rękach, że sępom śmierci lot przykróca,
»Co przylatują skrzydły skwapliwémi

»Po nasze ciało, niosą je w głąb' ziemi,
»Tam osłaniają nieprzespaną nocą
»I szatę ciała łakomémi dzioby
»Prują i szarpią w kawały, i groby
»Kośćmi znajomych, sąsiad i przyjacioł
»Wciąż zaludniają...« Tu mowca się zaciął,
Nie wiém dla czego usta mu się ścięły
I lica bladość niezwyczajną wzięły.
»Któż wié, na kogo wypadnie z kolei
»Wymówić: Nie mam już żadnéj nadziei
»Oglądać ziemię, ziemię ukochaną!
»I tyś nie wiedział bliźni Hippolicie,
»I tyś nie wiedział, że tobie kazano
»W spadku po sobie oddać komuś życie!

»Kto czuje stygnąc, że jego duch przejdzie
»W postać człowieczą, że z jego zwłok zejdzie
»Jakiś bohatér, co pokona zbrodnią,
»Lub jakiś kapłan, co z wiary pochodnią
»Przejdzie się między sercami ludzkiémi,
»Zapali ciemność, osłodzi katusze,
»Albo wieszcz jakiś, co pieśni mocnémi
»Powiąże myśli w jednę jakąś duszę,
»Uczucia w jedno serce, w jedno ucho
»Słuchy, i oczy w jedno prawe oko,
»Ten może patrzéć z uśmiéchem głęboko,
»I iść spokojnie w tę krainę głuchą,
»O któréj ludzie dotąd nic nie wiedzą...
»Ale.....
Tu przerwa w mowie professora;
Kapłana oczy niespokojnie śledzą
Poruszeń mowcy, i cicha pokora
Zeszła na szaty, a na księdza twarzy
Gniéw z oburzeniem głośném się kojarzy;
On ksiądz nie dawno prawił przed młodzieżą,
Co jest, co było, i co potém będzie,
Mówił, jak mówią chrześcijanie wszędzie;
On, który w pocie czoła zapracował
Na ufność ludzką, w jego słowo wierzą
Młodzi i starzy; ówże nagotował
Słuch na to, żeby słyszéć zaprzeczenie
W wiadomość kraju, o którym któż nie wié?...
Osądził zatém za sprawę po temu
Zakończyć usta mowcy niebacznemu
Na drzewo wiary. Wszak na wiary drzewie
Być nie powinien listek nie zielony,
Albo nie cały? A więc ręką skinął,
I wieniec młodzi ku trumnie podpłynął;
Zdjął z katafalku, i po nad ramiony
Pomiędzy ośmią głowy popłynęła
Trumna z kościoła: za nią mnogie fale
Ludzi, świéc, wozów, płynęły niedbale,
Wreszcie do portu trumna zawinęła,
Kędy ją kapłan pobożnie połączył
Do niezliczonych łodzi życia, które
Domysłów naszych teraz wożą chmurę.
Obrządek kapłan exortą zakończył,
A co mi w ucho i w pamięć upadło,
To rzucę na méj powieści źwierciadło.
Mówił on kapłan: »Za życia wrotami
»Są różne kraje, widzimy je snami,
»Naszém cierpieniem i naszém sumieniem;
»Nasza pobożność, cnota, grzéch i wina
»Wróżą nam przyszłość...« Exorta westchnieniem
Zakończyła się — i *Salve Regina*
Brzmiało na grobie, i w głębi cmentarza
Marsz pożegnalny zagrała muzyka,
Ścichła — i wszystko ścisza się. I znika
Rychle pogrzebny orszak — prócz grabarza.

III.

ŚMIERĆ PROFESSORA.

PROFESSOR.

Nie kapelanie!

KAPELAN.

Tak jest professorze!

PROFESSOR.

No! kapelanie! a ja się założę,
Że ty nic nie wiész o przyszłych krainach,
Nic a nic nie wiész.

KAPELAN.

Być może! być może!
W długich, samotnych, duchownych godzinach
Rozmyśliwałem o naszéj przyszłości;
Wierzaj, że można czasem w samotności
Widziéć świat przyszły, można być prorokiem
Wszak i prorocy z takim samym wzrokiem
I z taką duszą jak my wystąpili
Na scenę życia, ale oni żyli
Trzema częściami duszy, częścią czwartą
Swojego ciała; to jest: umarzali
Trzy części ciała; a my częścią czwartą
Duszy żyjemy, resztęśmy oddali
Na pastwę ciała.

PROFESSOR.

Roześmiać się warto,
Mój kapelanie, z téj satyry ciała
Mojego! Zkąd wiész, że prorocy byli
Tobie podobni? Tobie... nie mnie? Czyli
Opatrzność nato ciało na nas wdziała,
Żeby nam myśli dać w mniéjszéj ilości?
Czyliż na drzewie tylko naszych kości
Może duch kwitnąć obficie i bujno,
Jak chmiel na tyczkach z kory oskubanych?

KAPELAN.

Dla czegoż w ludziach z ciała rozebranych
Słuch jest tak miękki, i myśl jest tak czujną?
I zmysły skorsze do wrażeń, i dusza
Swojém subtelném skrzydłem łatwiéj wzrusza?
Czemu się ciało ulotnia, gdy dusza
Świéci w człowieku wkształt letniego słońca?

PROFESSOR.

Mój kapelanie bez końca! bez końca
Będzie rozmowa! Nie zawsze ateusz
Jest bez religii, nie zawsze chudeusz
Tylko pracuje; oto masz dowody:

Tu pan professor wyciągnął z szuflady
Pęk rękopismów.
Sato z Messyjady
Niektóre pieśni. Ciało nić ma szkody,
A dusza moja nie powie, że we mnie
Pół wieku spala. Księże! znasz to dzieło?
To arcydzieło? Człowiek nadaremnie
Zrobi pytanie: jak się to poczęło?
Jeden jest Klopsztok, jak jeden na świecie
Messyjasz, bohatér tego poematu,
Owóż co Klopsztok dał Niemcom i światu,
Tom ja Polakom przyswoił, a przecie
Jestem otyły.
Kapelan wziął w dlonie
Rękopism, oczy utkwił w jego łonie,
Professor dyszał, a kapelan czytał;
Gdy skończył, żywo professor zapytał:
»Jak się podoba.« Kapelan nie wiedział
Jak odpowiedzieć, wreszcie odpowiedział:

»W orginiale widać wielkie trudy
Nad każdém słowem, cierpliwość i stałość
W swém przedsięwzięciu, znać że autor chudy.

PROFESSOR.

Cóż widać w kopii?

KAPELAN.

Widać chęć, i śmiałość,
I niedostatek skrzydeł do zrównania
Wysokim lotom orła Allemanów.
I tłumacz bliższy snać wiecznego spania,
Niż dokończenia swych zaczętych planów,
Bo zajść do końca ciało mu zabrania.

Tu się tak zbiegło wzajemne spojrzenie,
Jako te siły dwie równe fizyczne,
Z których wyrasta wzajemne zniszczenie.

Kapelan odszedł. Zostawił rozliczne
Myśli, uczucia, w głowie professora,
Jego spojrzenie z zewnętrza zniszczone,
Jak światło dzienne od cieni wieczora,
Jakaś wewnętrzną pracą zatrudnione,
Zda się w kopalniach ducha czegoś śledzić,
Aże nie złota myśli łatwo wiedzić.
Jak złoto ziemne nie w każdéj jest górze,
Jak złoto słońca nie w każdéj jest chmurze,
Nie w każdym liściu, nie w każdéj naturze,
Tak złoto myśl nie w każdym człowieku
Rośnie, nie w każdéj godzinie i wieku.

Gdy wieczór cichy, można oczekiwać
Powrotu słońca w kopii; w księżycu
Gdy kto rozmyśla, można się spodziewać
Że tych rozmysłów przerys będzie w licu,
Jakoż, choć wewnątrz poszły ócz promienie,
Choć zewnątrz twarzy zasiadło milczenie,
Jednak o jednę liniją postąp wzrokiem
W twarz professora, odkryjesz w zaskórnym
Kraju oblicza, to, co za obłokiem,
Gdy burza wpłynie tam na statku chmurnym.

Wstrząsł się, jak globus piorunem trącony,
Snać piorun myśli po czole noszony
Spadł i przewiercił serce, i rozkroił
Drzewo uczucia, i po krwi mu brodził;
Na chwilę tak się w sobie uspokoił,
Jakoby anioł spokoju przechodził
Po nad brzegami jego uczuć rzéki.

W tém się rozwarły, i zwarły powieki;
W licu krew sinym wyziewem buchnęła,
Z ust i nozdrz strumień pąsowy się leje,
Oczy w słup idą, i czoło się chwieje,
I cała głowa na piersi runęła,
Śród ust się pluska we krwi jakiś słowo,
Dojdzie ust brzegu, idzie w głąb na nowo;
Chwiał się; przyklękał wciąż na jednę nogę,
I jedną ręką chwytał za podłogę,
Ale podłoga zdała się uciekać;
Chwiał się — i ręce nagle rozkrzyżował,
Jakby się modlił, jakby się ratował,
I upadł na znak —
Te chwile przeczekać
Trzeba w powieści; bo tu zawieszenie,
Było chwil życia, a śmierci spoźnienie.

Pomiędzy ziemią, a pomiędzy niebem
Płaczące chmury szły jak za pogrzebem
Za dnia ostatkiem. Dzień ziemię gruntował,
Wzrok jego jeszcze leżał na zachodzie
Jak purpurowy pas po sinéj wodzie,
Wieczór powolną ręką go zdejmował
I chował w ziemię. Chmury blade z razu
Ciemniały, wchodząc w dojrzalsze godziny,
Kolejom bladéj podobne dziewczyny,
Farba od farby, gaz niknie od gazu,
I coraz ciemniéj w naturze się zdało,
I coraz ciemniéj — noc nieśmiała, młoda,
Płynęła na świat jako czarna woda.

Między chmur szpary nocy się nalało,
I wiatr kołysał mozaikę lotną
Po nad głowami gór nieruchomémi;
Ksiądz między cztérma ścianami cichémi
Chodzi i duma, i ręką suchotną
Poprawia ogień, który na kominie
Nie jednostajnym płomieniem wciąż płynie
W gardziel zczerniałą od swego oddechu.

W pokoju księdza, jak obrazy grzéchu,
Ogień po ścianach swe blaski rozwiesza,
Niby obrazy niderlandzkiéj szkoły,
Po środku fresko; kapłan zgięty w poły
Zda się piekielny ogień dłońmi miesza.

Nagle ta postać wstaje z malowidła
I na suficie kładzie swoję głowę,
A na podłodze gubi nóg połowę,
Po tle ognistém ściany wkształt straszydła
Wciąż się wałęsa fantasmagorycznie.

Ksiądz w téj galeryi idealnéj, małéj,
Wielkich obrazów, samotny, w nabrzmiałéj
Od ognia ręce trzyma mechanicznie
Brewiarz stary, otyły, podarty,
Tchnący zakrystyją, woskiem i trupami;
Kiedy niekiedy w pełne modlitw karty
Zanurzy oczy, i te z modlitwami
Na wierzch dobędzie, w ustach pełno ruchu,
Zapewne tyle co w sercu i duchu.

W kącie stał cichy ołtarzyk dębowy
Czarny, krucyfix na nim cyprysowy
Wciąż przypominał zbawiciela mękę,
Ksiądz doń przystąpił, wziął w pobożną rękę,
Pięć pocałowań na ręce i nogi
I na pierś złożył, upuścił kolana
Przy ołtarzyku. Modlitwa wezbrana
Za brzegi serca wyszła na ust progi,
I jego całe oblicze nakryła
Swemi falami. Dusza się modliła.

Wiater tymczasem z rozkazu szatana
Skumlił po rogach domu kapelana,
Olbrzymią garścią rwał śnieg z dachów, z ziomi
I rzucał w okna, i zdawał się głowę
Pchać w szyby drzące, oczyma wściekłémi
Patrzéć na cichą pokoju osnowę,
Kapelan przerwał na chwilę modlitwę
I okiennice kazał pozamykać,
I znów się modlił. Z wiatrem jakby bitwę
Staczały węże, zdawały się ksykać,
Wić po pod okna. Lub jakby umarli,
Co za żywota spowiedzią nie starli
Grzéchów z swéj duszy, do spowiedzi dążąc,
Po pod oknyma nagle się wstrzymali,
Coś przypomnieli, na się popatrzali,
Jęknęli, pierzchli, wrócili, i krążąc
Do koła domu, mruczą i wzdychają,
Piszczą i miauczą, nareszcie znikają.

Wiater połamał i ręce i nogi,
Upadł, kręcił się, i jęczał śród drogi
Co szła od domu księdza do kościoła,
I gdy ratunku nadaremno woła,
Zerwał się, jak wilk śrótem poraniony,
I przypadł piersią do ziemi, i w śniegu,
W kolébce swojéj został pogrzebiony;
Północ do swego dopływała brzegu,
Dzwónek przedśmiertny, puszczyk, na skonanie
Komuś zadzwonił swą pieśń dziką, krótką;
Patrzał zkąd echo jego piosnki wstanie,
Dostrzegł: z kopuły zleciał, i cichutko
Na kamienicy usiadł professora.

Furman do stajni wybiegł z kamienicy,
I od wozowni upadła zawora,
I końskie oczy błysły zamiast świécy
We drzwiach wozowni. Furman zaciął konie
I ośm pieczęci na śniegu zostało
Od ośmiu kopyt, i sanie porwało
Ośm nóg lecących. Jak przez wodne tonie
Łódka ciągniona ośmioma falami;
Albo jak chmura ośmioma wiatrami
Po atmosferze, lub jak myśl po sercu,
Tak sanki biegły po białym kobiercu
Zimowych ulic. —
Puszczyk się nachylał
Ku professora oknu, nasłuchiwał,
Łeb wyprostował, swoję pieśń zaśpiewał,
I z dachu skrzydła na powietrze wylał,
I w prost na cmentarz pospieszył z nowiną.

Kapelan kończył modły; gdy *amen* wymówił
Stanął przy oknie; prawém uchem łowił
Jakieś tentnienie:
»Północna godzina!
Któż nawet z tobą odpocząć nie może?!«
I znowu słucha:
»Czy ziemi trzęsienie?
A! ktoś przejechał, obaczę, otworzę,
Zapewne trzeba oczyścić sumienie,
Oczyścić drzewo z listek, co do góry
Ma pójść.«
Otwarł drzwi i »Kto to?« zapytał,
I wraz zakrystyjan, niosąc sen ponury
Na starych rzęsach, furmana powitał;
Coś rozmawiali... zakrystyjan przeciérał
Oczy i uszy, odszedł od furmana
I rzekł: »Niechajby bez Boga umiérał,
Jak żył bez niego!« a do kapelana:
»Po olej święty.« Ksiądz milcząc powrócił
I wyszedł milcząc z pokoju, obrzucił
Futrem swą postać, i wtłoczył się w sanie,
Zakrystyjan cicho usiadł przy furmanie,
Trzymając w ręku balsam rzymski w puszce,
Stułę i komżę. Jakby na poduszce
Sparł na ramieniu furmana swe skronie,
Nie otrząśnięte ze wszysktich snów. Konie
Ruszyły; i jakby dostrzegły,
Że nie z samymi tylko ludźmi biegły,
Zwiesiwszy głowy, jakąś czcią przejęte,
Lekko, spokojnie wracały do domu.
Śród bramy widać ręce wyciągnięte,
Dające jakiś znak nie wiedieć komu:
»Już nie potrzeba!« doszło usz furmana,
A furman konie zatrzymał przed bramą,
Zbladła twarz zwrócił do zakrystyjana,
Przelękłém słowem powtórzył toż samo;
Zakrystyjan uszy przetarłszy i oczy,
Do kapelana wzrok i słowo toczy:
»Już nie potrzeba!« Kapelan powtórzył
I do połowy twarz w futro zanurzył.

»Zawrocić?« z cicha zapytał woźnica,
»Zawrócić!« z cicha zakrystyjan powiedział,
Kapelan w myślach pogrążony siedział
I patrzył w niebo.

PIERWSZA PRZYGODA WOJENNA.

Z pamiętników francuz. oficera.

Przybyłem do pułku d. 4. września wieczór. Natychmiast przedstawiony zostałem pułkownikowi w jego barace. Z razu przyjął mię wprawdzie nieco zimno i ostro; lecz skoro mu wręczyłem list zalecający mię od jenerała B. zmienił swoje obejście się ze mną, wyrzekł kilka słów zobowiązujących, i przedstawił mię memu kapitanowi, mężczyźnie słusznego wzrostu z wyrazem twarzy dzikim i odrażającym. Z prostego żołniérza dorobił się on na polu bitwy szlif i krzyża wojskowego. Głos jego słaby i chrapliwy dziwny spór tworzył z olbrzymim jego wzrostem. Dowiedziałem się, iż kula karabinowa przeszywszy go na wskroś w bitwie pod Jeną, nabawiła go chrapliwego głosu. Gdy mu powiedziałem, że przybywam ze szkoły Fontainebleau, twarz mu się przeciągnęła: »Mój porucznik poległ dnia wczorajszego,« rzekł do mnie. Zrozumiałem co chciał przezto powiedzić: »Na wćpana kolej go zastąpić, a niezdolnym jesteś.« Uszczypliwą uwagę już miałem na ustach, lecz wstrzymałem się.

Wielki i czerwony, jak zwykle przy wschodzie, wznosił się księżyc w pełni w stronie reduty Cheverino, oddalonéj od naszego stanowiska na dwa strzały działowe. Jednakże tego wieczora wydawał mi się większym niż zwykle, a przez chwilę na jasnéj jego tarczy odbijał się czarny szaniec reduty, podobny do krateru wulkanu, w chwili gdy ogniem wybucha. Jeden ze starych wiarusów uważał ten kolor księżyca: »Coś on czerwono wschodzi!« zawołał, »dużo ona krwi kosztować będzie, ta przeklęta reduta!« Ja, który zawsze byłem dosyć zabobonnym, usłyszawszy tę wieszczbę do żywego przerażony nią zostałem. Układłem się na ziemi, lecz nie mogłem usnąć. Wstałem znowu, i dosyć długo chodziłem po obozie, przypatrując się niezmiernej linii ogniów, rozłożonych na czatach, które się ciągnęły na wzgórzach po drugiéj stronie miasteczka Cheverino. Kiedym już czuł, że świéże, ostre powietrze nocne ochłodziło wrzącą krew moją, powróciłem do ogniska, zawinąłem się z głową w płaszcz széroki, i zamknąłem oczy w nadziei, że nie prędzéj aż nazajutrz znowu je otworzę. Ale sen nie był mi posłusznym. Nieznacznie i mimowolnie wszystkie moje myśli żałobną przybrały barwę. Powiedziałem sobie, że ani jednego nie mam przyjaciela między stoma tysiącami ludzi, który okrywają tę płaszczyznę. Jeżeli zostanę ranionym, oddadzą mię do nędznego szpitalu w ręce nieumiejętnych felczerów. Wszystko, co tylko o chirurgicznych słyszałem operacyjach, przesunęło się przez moją wyobraźnię. Serce biło mi przemocnie, machinalnie prawie rozpostarłem, jak pancérz jaki, chustkę i pugilares, które nosiłem na piersiach. W końcu pokonany sił wycieńczeniem, co chwila zasypiałem, i co chwila stawała przede mną jaka myśl okropna, i budziła mię przestrachem. Tymczasem znurzenie przemogło wszystkie mary; kiedy bowiem uderzono pobudkę, byłem w śnie najtwardszym. Żołniérze stanęli w széregi, odczytano *apel*; poczém broń złożono w kozły, i wszystko zapowiadało, że dzień będzie spokojny.

Koło 3ciéj godziny przybył adjutant z rozkazem. Kazano się nam wziąć do broni, nasi tyralierowie rozsypali się na płaszczyznie; kolumny nasze powoli posunęły się za nimi, a po upływie minut 20 ujrzeliśmy, jak przednie nieprzyjacielskie straże cofnęły się do reduty. Jedna bateryja stanęła na prawém, a druga na lewém naszém skrzydle, jednakże obie w znacznėm oddaleniu przed nami. Miotały one nieustanny ogień na nieprzyjaciela, który odpowiadał z równąż dzielnością; nie długo trwało, a reduta Cheverino zniknęła w gęstym obłoku dymu. Pułk nasz zupełnie był zakryty przed ogiem nieprzyjacielskim; kule przenosiły nas, lub najwięcéj, jeżeli zasypywały nas ziemią i drobnémi kamykami. Jak tylko wydano nam rozkaz posunienia się naprzód, kapitan mój takiém wpatrzył się we mnie okiem, że z marsową miną, musiałem pokręcić młode moje wąsy. W rzeczy samej nie obawiałem się niczego, prócz tego, aby ktoś sobie nie myślał, że nie mam odwagi. Te kule, które bez szkody przelatywały nad głowami naszémi, przyczyniły się, iż nie traciłem na chwilę bohatérskiej mojéj spokojności. Moja miłość własna szeptała mi, że

nie na lada narażam się niebezpieczeństwo, kiedy wystawiony jestem na ogień całéj bateryi. Unosiłem się już tą myślą, że w tak wygodném miejscu wszystko pokonam, i poiłem się w duchu rozkoszą, że będę mógł wzięcie reduty Cheverino opowiadać w salonie pani B. *rue de Provence.*

Pułkownik przechodził koło naszéj kompanii, i do mnie obrócił się z témi słowy: »Dziś, przy piérwszym wstępie swoim na scenę boju, zobaczysz wćpan jak niejeden obok niego koziołka przewróci!«

»Uśmiéchnąłem się nato obojętnie, strzepując z rękawa mego munduru piasek, którym mię osypała kula, o trzydzieście kroków z ziemię zanurzona. Zapewne w tej chwili poznali się Rossyjanie jak mało dobrego skutku sprawiały ich strzały, albowiem działa zamienili na moździerze, z których nas łatwiéj w nizkiém miejscu gdzieśmy stali, razić mogli. Spory kawał bomby zerwał mi z głowy kaszkiet, i ubił obok mnie żołniérza. »Winszuję wćpanu, rzekł do mnie kapitan, kiedym swój kaszkiet z ziemi podnosił; »dziś wćpanu nic nie będzie.« Znałem wojskową jego zabobonność, która tego trzyma się zdania, iż axioma *non bis in eidem*, równie dobrze zastosować się daje na polu bitwy, jak w trybunale. Ze śmiałą dumą znowu włożyłem swój kaszkiet na głowę, i rzekłem najweselszym tonem na jaki zdobyć się mogłem: »Zaiste byłto pokłon bez wszelkiéj ceremonii.« Ten nie najlepszy dowcip w położeniu naszém z oklaskami był przyjęty. »Życzę wćpanu szczęścia,« zawołał kapitan; »dziś już niczego nié masz się obawiać, i owszém dziś wieczór kompaniją dowodzić będziesz; bo ja czuję to dobrze, że dziś na mnie przyszła kryska. Ile razy raniony byłem, zawsze któryś z obok mnie stojących żołniérzy kontuzyi dostawał, i, dodał z cicha i z zawstydzeniem, nazwiska ich zawsze zaczynały się od litery P.« Udawałem zucha; co wielu zrobiłoby w mojém miejscu; wielu podobnie jak ja byłoby przejętych i wzruszonych tą wieszczą mową. Z tém wszystkiém, czułem to, iż z wrażeń swoich nikomu nie mógłem się był zwierzać, i ciągle musiałem okazywać krew zimną i odwagę.

W pół godziny ogień ze strony moskiewskiéj znaczenie ustawał, natychmiast wyszliśmy z naszéj kryjówki i posunęliśmy się ku szańcom reduty. Pułk nasz składał się z 3ch batalijonów; drugi otrzymał rozkaz, rzucić się w stronę, z któréj był przystęp; dwa inne miały rozpocząć atak. Ja znajdowałem się w trzecim. Wyszedłszy z po za wału, który nas zasłaniał, nieprzyjaciel powitał nas ogniem karabinowym, który wszakże nie wiele szkody zrządził w naszych szeregach. Świst kul przeraził mię; kilka razy obejrzałem się, i to mi ściągnęło przycinki niektórych towarzyszy, lepiéj niż ja z tym świstem obeznanych. »Wszystkoto, wziąwszy razem,« rzekłem do siebie, »bitwa wcale nie jest rzeczą okropną!« Krokiem do ataku posuwaliśmy się naprzód, przed nami byli tyraliery; nagle ze strony nieprzyjacielskiéj zagrzmiało trojeHurra! troje wyraźnych, okropnych Hurra, i znowu nastała głęboka cisza bez żadnego wystrzału. »Nie lubię takiego milczenia,« rzekł mój kapitan, »nic ono nam dobrego nie wróży.« Uderzyło mię, że nasza wiara za nadto wiele robiła hałasu, nawet nie mógłem się wstrzymać, abym w duchu nie zrobił porównania między ich nieswornym wrzaskiem, a nakaźném milczeniem nieprzyjaciela. Piorunem dotarliśmy do reduty. Już kule nasze pogruchotały palisady, ziemia do koła była nimi zoraną. Żołniérze nasi weszli już w te nowe ruiny, i z największą rzucili się zapalczywością.

Tu podniosłem oczy — o, nigdy ta chwila nie wyjdzie z mojéj pamięci! Większa część dymu wzbiła się w górę, i na dwadzieścia stóp nad redutą, jak baldakin zawisła. Przez mgłę niebieskawą można było rozpoznać nieprzyjacielskich grenadyjerów, ukrytych za szańcami, pół zgiętych, z wzniesioną bronią, i nieruchomych jak posągi. Dotąd jeszcze zdaje się mi, że widzę każdego pojedyńczo z tych żołniérzy, jak lewém okiem wpatruje się w nas nieruchomie, a prawe przyłożonym do piersi karabinem zakrywa. Tam, w strzelnicy o kilka kroków przed nami stał żołniérz przy dziale, z palącym się lontem w ręku. Wzdrygnąłem się, myśląc, że to już moja ostatnia wybiła godzina. »Teraz dopiéro zazaczyna się taniec,« zawołał mój kapitan, »dobra noc!« i to były ostatnie jego słowa.

Grzmot bębnów rozległ się na szańcach, widziałem jak wszystkie zniżyły się bronie, zamknąłem oczy, i usłyszałem okropny ryk dział i karabinów, po którym przenikające

nastały jęki. Zdziwiony jakim sposobem znalazłem się jeszcze na tym świecie, otworzyłem oczy, lecz widok jaki mię otoczył, był najokropniéjszy! Znowu tuman dymu okrył całą redutę, stałem po środku stosu ranionych i zabitych, kapitan u nóg moich leżał bez ducha, kula głowę mu strzaskała, a mózg i krew jego zbryzgały mię całego. Z całéj mojéj kompanii nie zostało się więcéj jak sześciu ludzi i ja między nimi.

Po téj rzezi nastała chwila ponuréj, martwéj ciszy. Pułkownik, na szpadę zatknąwszy swój kapelusz, pierwszy wdarł się na szaniec, a wszyscy, którzy przy życiu zostawali, poszli jego przykładem. O tém, co się potém stało, wyraźnego nié mam pojęcia; wdarliśmy się na szaniec, nie wiém jak i kędy. Mąż ściérał się z mężem w tak gęstym dymie, że jeden nie widział drugiego. Zdaje mi się, że walczyłem równie jak drudzy, gdyż moja szabla krwią opłynęła. W końcu usłyszałem okrzyk zwycięztwa, a kiedy się chmura dymu podniosła, widziałem tylko krew i trupy, z pod których ziemi nie widać było. Działa najwięcéj otoczone były trupami. Koło dwieście żołniérzy we francuzkich mundurach zebrało się razem, bez żadnego porządku; jedni nabijali karabiny, drudzy ze krwi ocierali bagnety; w środku nich było 11 jeńcow. Pułkownik, nużając się we krwié, leżał na połamanym wozie prochowym, przy samym wyłomie; kilku żołniérzy otoczyło go. Zbliżyłem się ku niemu: »Gdzie jest najstarszy kapitan?« zapytał jednego z podoficérów. Ten wzruszył ramionami, dając poznać najwyraźniej stan rzeczy. »A najstarszy porucznik?« — »Oto, ten pan, który wczoraj do nas przybył.« Pułkownik uśmiéchnął się gorzko. »No, panie poruczniku,« rzekł do mnie, »wćpan jesteś tu naczelnie dowodzącym, rozkaż natychmiast wnijście do reduty zatarasować wozami; albowiem nieprzyjaciel jest w przewadze!« — »Panie pułkowniku,« rzekłem, »ciężko jesteś raniony.« — »Bierz djabli, mój przyjacielu, kiedy wzięliśmy redutę!«

— Ze Lwowa. —

W księgarni Frańciszka Pillera wyszło w pięknéj oprawie dziełko muzyczno-zapustne, pod nazwą: »Miłostka i małżeństwo przez mazurek *(Der kurze Liebesroman, oder die Heirath durch einen Mazur)*,« na korzyść powstać mającego we Lwowie zakładu opiekuńczego dla małych dzieci, którémto dziełkiem pan S. W. Schiessler, c. k. komisarz wojenny, szczególnie miłośników tańca udarzył. — O ile sam pomysł jest oryginalny i dowcipny, o tyle szczęśliwe wykonanie, tak co do muzyki jako i poezyi, ujmie każdego miłośnika tańca i muzyki, a dobroczynne dziełka tego przeznaczenie i mierna onego cena (30 kr. m. k. za jeden egzemplarz z textem polskim i niemieckim) znaczny rokuje odbyt.

Rzut oka na stan literatury polskiéj w r. 1835 i na początku 1836 roku. Mimo zbyt wielu przeszkód, które postęp literatury polskiéj tamują, rok upłyniony płodniejszym był od trzech poprzednich w druki dzieł polskich. Albowiem wyszło w nim przeszło 180 pism polskich rozmaitéj treści i objętości, w różnych krajach Europy. Przyznać wprawdzie trzeba, że między tą liczbą mało bardzo znajduje się dzieł, któreby literaturę ojczystą rzeczywiście zbogacały; z tém wszystkiém zyskała ona pod numerycznym względem, podobnie jak od lat kilku zyskują literatury niemiecka, francuzka i angielska, w których wiele wychodzi corok dzieł co do liczby, nader zaś mało co do prawdziwej wartości. Z wyszłych w r. z. dzieł polskich 1/3 prawie część należy do literatury pięknéj; reszta obejmuje pisma teologiczne, lekarskie, historyczne i t. d. Warszawa wydała w r. z. najwięcéj dzieł, w większéj połowie w przekładach z obcych języków. Kraków i Wilno nie wyrówawszy w tym roku Warszawie, co do liczby drukowanych dzieł, przewyższyły ją co do ważności druków swoich, bo gdy drukarnie warszawskie zarzucały kraj przekładami romansów Pawła Koka, Balzaka, Massona i t. p. drużyny, w Wilnie i w Krakowie wyszły dzieła poświęcone badaniom historycznym, lub zgłębianiu nauk przyrodzonych. Z wileńskich przeszłorocznich druków polskich zasługują szczególniéj na uwagę: 1) Dzieje starożytne narodu litewskiego, przez Teodora Narbutta, znanego chlubnie literata (dzieła tegoż mającego się składać z 3ch grubych tomów wyszedł dopiéro tom 1szy zawiérający w sobie mitologiją dawnych Litwinów). 2) Opisanie statystyczne miasta Wilna, przez Michała Balińskiego. 3) Dwa wyjątki z bogactw mowy polskiéj, przez Aloizego Osińskiego. 4) Celniéjsze prawidła homiletyki, przez ks. J. Skidełła. Z krakowskich: 1) Rady zachowania się niewiast, przez Hipolita Terleckiego. 2) Spiewy historyczne, przez J. U. N. 3) Kronika Zelnera, przez A. Grabowskiego i t. d. Z przeszłorocznich warszawskich druków celują: 1) Gospodarstwo wiejskie Oczapowskiego. 2) Pienia liryczne Zatorskiego, i kilka innych. We Lwowie w r. z. nic ważnego nie wyszło.*) W Wiel. Ks. Poznańskiém wydrukowano w r. z. (w pięciu drukarniach) 10 dzieł polskich, z tych 3 o gospodarstwie, 1 historyczne, 1 teologiczne, reszta rozmaitéj treści. W Wrocławiu wyszło 9 dzieł polskich; do najcelniéjszych należą: 1) Dzieje panowania Zygmunta III. przez J. U. N. 2) Trzecie wydanie historyi polskiéj Bandtkiego, i 3) Manfred Byrona, przekładu Bojanowskiego. W Królewcu wyszły trzy dzieła polskie, między temi Dykcyjonarz polsko-niemiecki Mongowiusza i Kazania tegoż autora; w Chełmie wyszło jedno dzieło treści duchownéj. W Lipsku wyszło kilkanaście tomów wyboru Klassyków polskich; w Pradze, w Czechach, krakowiaki z tłumaczeniem obok czeskiém. W Petersburgu wyszło kilka dzieł polskich; najcelniejsze z nich są: 1) Upominek ojca z podróży dla własnych i przyjaciół synów i córek; przez Witwickiego. 2) Tablice porównawcze wszystkich wiadomych monet i wag; przez T. Massalskiego. 3) Moje rozrywki (poezyje w dwóch częściach). — Pod prasą znajduje się w różnych miastach kilkanaście dzieł; do tych należą: 1) Stenografija Krupskiego, w Warszawie. 2) Pomniki prawodawstw sławiańskich Kucharskiego, w Warszawie. 3) Encyklopedyja powszechna, w Warszawie. 4) Pamiętniki Paska, w Poznaniu. 5) Podróże Kowalewskiego, w Petersburgu, i t. d. — Z peryjodycznéj literatury polskiej wychodziły w roku upłynionym następujące pisma treści naukowéj w Warszawie: 1) Magazyn powszechny; 2) Magazyn Mód. 3) Magazyn dla dzieci. 4) Majera Uniwersum. 5) Muzeum domowe. 6) Podróż malownicza. 7) Tygodnik rolniczo-technologiczny. 8) Pamiętnik muzyczny. 9) Sylwan. W Krakowie: 1) Kwartalnik. 2) Pamiętnik umiejętności. 3) Pamiętnik farmaceutyczny. 4) Przewodnik wiejski. 5) Roczniki towarzystwa naukowego. W Wilnie: 1) Roztrząsania naukowe, i 2) podobno Gazeta muzyczna. We Lwowie: 1) Śmiészek**) i 2) Rozmaitości. W Petersburgu:

*) Autor powyższego artykułu, wyjętego z Gazety Poznańskiéj, wyliczając płody literatury naszej w różnych miastach Polski, o Lwowie wyrzekł za surowe zdanie. Wprawdzie, lubo nie możemy iść w porównanie w tym roku z obfitością płodów literackich w innych miastach, jednakowoż nie wypada pominąć: Historyję miasta Lwowa Zimorowicza, przekładu Piwockiego. Haliczankę, wydaną przez J. N. Kamińskiego. Kazań Balickiego w 2ch tomach. O gorzelnictwie parowém Kasperowskiego w 2ch tom. Wspomnienie wojenne hr. Karśnickiego i t. d.

) **Śmiészek już przestał wychodzić, i nie był pismem czasowém.

1) Bałamut. W Lesznie: 1) Przyjaciel ludu. W Przemyślu: Przyjaciel prawdy chrześcijańskiej. Do pism tych przybędzie w roku bieżącym: Archiwum teologiczne, wychodzące w Poznaniu. Treści politycznéj te same, co w trzech latach upłynionych. Z Almanachów na rok 1836 wyszedł do téj chwili tylko: Wianek, w Warszawie. W Warszawie wyszło także na rok 1836 kilka pism dla dzieci. (G. P.)

Z Krakowa. Kuryjer Krakowski z powodu niedostatecznych dochodów, a przewyższających wydatków, z 19tym numerem przestał wychodzić. P. Tessarczyk, wydawca onegoż, na usprawiedliwienie złożył publiczności stan swojéj redakcyi, który tu umieszczamy:

»Dochód i rozchód redakcyi Kur. Krak. od 1. paźdz. 1834 do 25. stycznia 1836 r:

W kwartale I.	było dochodu	793 złp.	rozchodu	1287 złp.
II.	—	1196	—	1141 -
III.	—	1073	—	1205 -
IV.	—	691	—	1209 -
V.	—	837	—	1233 -
VI.	jest	794	—	1243 -
	Razem:	5394	—	7318 złp.

Chętniebym poświęcił i więcéj, ale mając mniéj jak nic, gdyż same tylko długi, donoszę niniéjszem, iż odtąd pismo powyższe wychodzić przestaje.«

Przemysłowe Czechy w robieniu cukru burakowego prześcignęły swoich niemieckich sąsiadów. W kraju tym liczą 20 fabryk cukru. Największa i najlepiéj urządzona należy do księcia Thurn i Taxis w Dobrowicy przy Młod. Bolesławiu. Wyrabia ona codziennie 1,000 cetnar,, w ogóle 80,000 cetnar. buraków, które około 5,000 cetnar. białego cukru dostarczają.

Sławna malarka Lebrun opowiada w swoich pamiętnikach: »Wiedeń ma trzech niebezpiecznych nieprzyjacioł: Wiatr, kurzawę, i walec.«

Lessing wyrzekł: »Rafael byłby malarzem, gdyby się nawet i bez rąk był urodził,« i przezto określił cokolwiek za mocno potęgę jenijuszu. Pewien hiszpański sztukmistrz popiéra zdanie Lessinga, albowiem będąc z przyrodzenia jedną tylko obdarzony nogą na naciągniętej linie z największą lekkością skacze.

Egipcyjanie w r. 1212 pr. nar. Ch. mieli wynaleźć sposób warzenia piwa, które peluzyńskim nazywali napojem; od miasta Peluzyum, leżącego przy ujściu Nilu, gdzie najpiérwéj warzone było.

Przełożony nad egipską missyją w Paryżu, otrzymał rozkaz od swego rządu, natychmiast wszystkich Egipcyjan, którzy dla pobiérania nauk dotąd zostawali w Paryżu na koszcie rządu, w rodzinne miejsce poodsyłać. Dnia 22. stycznia piérwszy oddział tych młodych ludzi, którzy wielkie postępy zaczęli robić w naukach, wyprawiony został w podróż do Egiptu.

Wiktor Hugo napisał dramat: »Pani Maintenon,« który niebawem przedstawiony będzie.

Wszystkie francuzkie dzienniki unoszą się nad dowcipném, lekkiém, nadzwyczaj zajmującem piórem w romansie świeżo wyszłym: *Regard dans le vie,* przez Samuela Bach.

Księżna Craon wydała w Paryżu dwa dramata: »Jocabed,« i »Synowie Klodomira,« pisma czasowe wielkie przyznają im zalety.

W teatrze wielkiéj opery w Paryżu zajmują się teraz wystawą nowéj opery Majerbeera: »Lenora.« Nowe to zjawisko obudza powszechną ciekawość tak dalece, że na 30 przedstawień miejsca są już naprzód zamówione.

Nie zbyt dawno wyszło w Paryżu dzieło osobliwe w swoim rodzaju, pod napisem: *L'art de faire des dettes et de promener ses creanciers; par un homme comme il faut* (Sztuka robienia długów i zwodzenia swoich wierzycieli; przez człowieka znającego się na rzeczy). Autor nie podziela bynajmniej tego zdania, iż wszyscy bez wyjątku mogą robić długi; wymaga on pewnych fizycznych i moralnych przymiotów, i sami tylko niemi uposażeni, składają podług autora uprzywilejowaną klassę dłużników.

Dzienniki belgijskie donoszą, iż pan Marchal, zegarmistrz i mechanik w Bruxelli wynalazł nowy system kolei żelaznych, i otrzymał na to patent od rządu na lat 10. Marchal nadał swojemu wynalazkowi nazwisko *ruchome koleje,* te bowiem koleje razem z wozem, ktory niosą, posuwają się. Zapewniają, że system ten tak do pocztowych, jakoteż i prywatnych pojazdów, zgoła do wszelkiego rodzaju wozów, z łatwością zastosowany być może. Wozy podług tej nowej metody sporządzone, równie jak dotychczasowe, po wszelkich zwyczajnych drogach i kolejach prowadzone i wszelkiego rodzaju siłą poruszone być mogą.

Diament Sancy. Sławny ten klejnot nie dawno kupiony został przez księcia Demidowa, wielkiego łowczego cesarza rossyjskiego, za pół millijona rubl. ass. Dzieje jego nie wszystkim może są znane. Diament ten przybył z Indyjów i od czterech wieków znajduje się w Europie. Karol Śmiały piérwszym był onegoż posiadaczem, i miał go w bitwie pod Murten, gdzie życie utracił. Jakiś Szwajcar znalazł go i przedał pewnemu duchownemu za złotówkę. W r. 1489 dostał się on Antoniemu, królowi Portugalii, który w potrzebie przedał go jakiemuś Francuzowi za 100,000 fr.; od tego dostał się on w posiadanie Sancemu, i razem wziął od niego miano. Gdy tenże, jako poseł udał się do Solury, kazał mu Henryk III., aby w zakład ten diament mu zostawił. Sługa, który takowy odnosił, w drodze napadnięty został od rozbójników, i zamordowany, wprzód jednakże połknął go z przezorności. Sancy kazał otworzyć trupa i znalazł diament w żołądku zabitego. Jakób II., król angielski, posiadał go r. 1618, kiedy do Francyi przybył. Poźniej stał się on własnością Ludwika XIV., a Ludwik XV. w czasie koronacyi nosił go w koronie. Ma on kształt gruszki, waży 53 1/2 karaty najczystszéj wody, i pewnie wart więcéj, niż pół mil. rubl. ass.

Van Dyk, uczeń Rubensa. Pewnego dnia, kiedy Rubens wyszedł na przechadzkę, udał się Vandyk z kilkoma współuczniami do pracowni swego mistrza, aby oglądać jego roboty. Jakoż, przybliżywszy się za nadto do świéżo malowanego obrazu, jeden z uczniów popchnął drugiego, ten upadł i zatarł rękę Ś. Magdalenie, i usta Najś. Pannie. Uczniowie wpadli w największy kłopot. »Nie traćmy czasu,« zawołał jeden z nich, »mamy jeszcze trzy godziny; najbieglejszy z nas niech się co żywiéj bierze naprawić miejsca starte; Vandyk nas wyręczy;« wszyscy zgodzili się na Vandyka, który po długiem wahaniu się, ujął pęzel, i tak wybornie malował, że Rubens nazajutrz, oglądając obraz w obecności niespokojnych uczniów, zawołał: »Ta ręka i głowa są lepsze, niż mi się wczoraj zdawało.« Obraz ten, jeden z najznakomitszych tego mistrza, jest *zdjęcie z krzyża*, które znajduje się teraz w katedrze antwerpskiej.

Pomyłka. Pewnego dnia książę Talleyrand zaprosił do siebie na obiad sławnego podróżnika Denon, lecz piérwéj uprzedził swoją małżonkę, aby dzieło Denona przejrzała, i wskazał jéj w biblijotece swojej miejsce, gdzieby takowe znaleźć mogła. Pani Talleyrand przez prędkość, czy nieuwagę, wyjęła przypadki Robinsona, które spiesznie przebiegła, i podczas obiadu, chcąc gościa stosowną zabawić rozmową, zaczęła go wypytywać o rozbiciu się jego okrętu, o owéj wyspie, o bitwach z dzikimi, i o poczciwym Piątaszku.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.